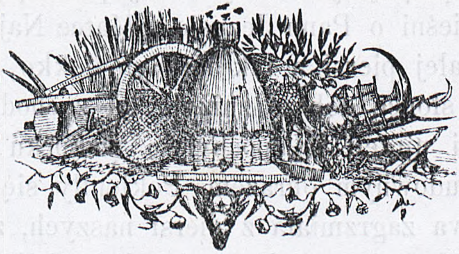
Tom XII. Nr. 12.
21. kwietnia 1865.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK
PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Skarb święty w roli.

Chwalebny to zwyczaj przodków naszych, pospieszać na odpusty do miejsc cudownych, których tak wiele w naszym kraju. Bóg najdobrotliwszy w sprawiedliwości swojej uposażył nas hojnie miejscami z łask słynącemi. Widać że nas kocha, kiedy mu tak miło między nami. Tam to znękany człowiek znajdzie z pewnością pociechę i pokrzepienie u nóg Zbawiciela. Matka ofiaruje tu dziecię swoje opiece Panny Przenajświętszej, aby za jej łaską rosło na jej pociechę i na pożytek ludziom. Tu bogacz jak ubogi nędzarz znajdą też miejsce, gdyż każdy jest dłużnikiem sprawiedliwości boskiej.

Zeszłego roku wybrałem ci się i ja dawnym zwyczajem na odpust do Sąsiadowic. Kiedy strudzony podróżą pod skwarnem słońcem lipcowem doszedłem do lasku o milkę od Sąsiadowic odległego i w cieniu sobie miło odpocząłem, dochodzą do uszu moich spiewy nabożne. Pomyślałem, musi to być jakaś nabożna kompania, co się gdzieś zebrała, i razem z pieśnią na ustach zdąża toż samo do Sąsiadowic. Ujrzałem

nie zadługo procesyę liczną mieszczan z Starego miasta, co to słyną w całej okolicy jako pobożni katolicy i dobrzy Polacy.

Z radością przyłączyłem się do tej procesyi i nuż spiewam z nimi razem pieśni o Panu Jezusie i Matce Najświętszej z całej duszy i z całej piersi a tak mi było lekko, tak błogo jak nigdy. Już się słońce dobrze zniżyło ku zachodowi, kiedyśmy wyszli z boru i ujrzeli na pochyłym wzgórku klasztor xięży Karmelitów z cudownym obrazem. Pokłoniły się chorągwie nasze a pieśń nowa zagrzmiała z piersi naszych, że się Pan Jezus w niebie radować musiał z tej pobożnej drużyny, a z pewnością na nasze wspólne wołanie, rozżali się nad nami i ulży nam cokolwiek ciężaru, co go włożył na słabe barki nasze. Xiądz proboszcz tamtejszy czekał już z procesyą na nas i wprowadził nas przy odgłosie dzwonów do kościoła, a po krótkiej modlitwie czule i serdecznie powitał nas jako swych braci w Chrystusie. Kiedym wyszedł z kościoła, cóż to za radość ujrzeć tyle ludu pobożnego i z dala i z bliska, których jedno uczucie i intencya w to miejsce przywiodła. Jak roje pszczół oblęgli pobożni całe to cudowne wzgórze. Rusin i Polak, bogacz i ubogi, wszyscy tu w zgodzie i miłości jak dziatwa jednego ojca. Kiedy tak chodzę jak między bracią a rozmawiam jak z dawnymi znajomymi, aż tu jak nie zagra muzyka kościelna z ganku prześliczną piosnkę „Dobra noc Jezu kochany,“ a tu jak nie zawtorują wszystkich piersi, a głos tak rzewny a tak się zlewa w cudną muzykę, jak tego i uczone spiewaki nigdy nie dokażą.

Kiedy się już zmierzchło, zabierali się strudzeni długą drogą pielgrzymi do spoczynku, a choć to mieszkańcy Sąsiadowic gościnnie otwierali swoje domy i stodoły z sianem dla pielgrzymów, nie bardzo się tam wszyscy kwapili, boć to noc pogodna a ciepła, toć i pod gołem niebem miły spoczynek, a najmilszy w pobliżu i pod opieką cudownego obrazu. Przysiadłem się i ja do większej kupki staromieszczan jakby jaki ich dawny znajomy i nuż rozmawiać z nimi o rzeczach świętych, kiedy to nie zagadnie mię najstarszy z nich wiekiem starowina, siwy jak gołąb a krzepki na duchu i ciele jakby młodzian jaki.

— A znacie wy historyę tego obrazu cudownego, coście go znać z daleka przyszli uwielbiać?

— O z daleka przyszedłem boć to i daleko i głośno o tym cudownym obrazie, ale historyi jego nie znam, jeźli zaś łaska wasza i wola dobra, opowiedzcie mi.

— Bóg wam użyczy zdrowia i lat długich, kiedy nie żałujecie trudu dla chwały Boskiej. Siwa głowa moja i wiek nie mały a nigdy jeszcze od czasu, kiedy to chłopięciem jeszcze przybyłem po raz pierwszy na to miejsce, nie opuściłem tego odpustu. Matka cudowna sprawiła, że mi nigdy jeszcze słabość w tem nie przeszkodziła, i dziś choć młodsi odemnie nie zdążają tu przyjść piechotą, mnie lekka ta podróż.

Kiedy ci, co byli bliżej, dosłyszeli, że starowina będzie opowiadał historyę obrazu cudownego, przybliżyli się do nas, a za nimi drudzy i wiełka się już zebrała gromadka, wtedy zaczął starowina donośnym głosem swe opowiadanie.

— Sąsiadowice, majętność to niegdyś była pamięci godnego domu Herburtów, nieobfita w zamożność ale prawość i nabożność. Podobało się Panu Bogu, to skromne siedlisko rozgłosić do koła. Dawno to, dawno, boć jeszcze r. p. 1589 pobożny rolnik tutejszy nazwiskiem Szwaja, prując to wzgórze lemieszem wyorał trzy figurki rznięte z drzewa lipowego. Widok tej rzeźby mocno go zajął. Wziął je do rąk a przez boskie natchnienie rozpoznał w niej wizerunek najdroższych dla każdego chrześcianina osób; po prawej stronie figurkę św. Anny, po lewej zaś Matki Najświętszej, a w pośrodku mała dziecina tuląca się do obojga niewiast, Pan Jezus malutki. W tem przekonaniu pospieszył do swego proboszcza, i złożył ten święty skarb z roli wydobyty w kościele parafialnym w Sąsiadowicach, pod wezwaniem św. Mikołaja biskupa i wyznawcy. Lecz nagle ta święta rodzina znikła cudownym sposobem a nazajutrz znowu znalezioną została na dawnem miejscu swego upodobania. Gdy się o tem lud Boży dowiedział, zebrał się tamże gromadnie, a upatrując w tem zjawisku rękę opatrzności, doniósł o tem nadzwyczajnem zdarzeniu panu swemu. Feliks z Fulsztyna Herburt, starosta Mościcki, dziedzic Sąsiadowic, zrozumiał to zrządzenie niebios. Kazał więc natychmiast ze

swojej wsi Głęboka zwanej przenieść nowiuteńką skrzynię na to miejsce objawienia, ubrał ją wewnątz dywanami, wzniósł ołtarz i postawił na nim ową rzeźbioną rodzinę świętą. Że zaś na rzeźbie onej upatrzono po prawej stronie wizerunek św. Anny, a pod tenczas już istniały w kościele katolickim obrazy św. Anny Samotrzeciej, ztąd tę kaplicę nazwano kaplicą św. Anny, a rzeźbę obrazem św. Anny. Odtąd co dzień wzmagała się cudami sława ubożuchnej kaplicy, do której z dalekich stron garnął się lud wierny i doznawał szczególnej łaski w swym niedostatku i utrapieniu. Cuda, jakie się tam działy, spowodowały wspaniałomyślnego dziedzica, iż postanowił tamże zbudować klasztor z kościołem. Już w roku 1591 stanął piękny murowany kościół a że natenczas przez przeniesienie xiędza biskupa Wawrzyńca Goślickiego do Poznania stolica biskupia przemyska była opróżniona, to też poświęcał ten kościół xiądz Dymitr Solikowski biskup lwowski. Ołtarz wielki w tym kościele jest na tem samem miejscu, gdzie wyorano ową rzeźbę świętej rodziny, którą to rzeźbę przymocowano do złoconej deski, tak wielkiej jak arkusz papieru, ujętej w złote ramy, i umieszczono w wielkim ołtarzu, a której to rzeźby zasłoną jest obraz św. Anny na płótnie malowany.

Dopiero dnia 29. lipca 1603 zezwolił xiądz Maciej Pstrokoński, biskup lwowski, aby ten klasztor zajęli xięża Karmelici, których z Krakowa sprowadził. Od tego to czasu sprawują xięża Karmelici swoje prace duchowne w tem miejscu i słowem i czynem wskazują ludowi drogę do szczęśliwości wiecznej. Xięża Karmelici, aby się ubezpieczyć przed napadami Tatarów, otoczyli to miejsce święte murem i wałem i wyjednali od stolicy Apostolskiej odpusty zupełne. Klasztor ten jest najdawniejszym klasztorem na całej Rusi Czerwonej.

Na tem skończył starzec swe opowiadanie a myśmy mu serdecznie za nie podziękowali. Miły był nasz spoczynek, jak miło było duszy w pobliżu tego miejsca cudownego.

Szczęsny z Żółkwi.

Młodym i starym nauka.

Ułożył Juliusz Ligoń,

majster kowalski w Zawadzkiem.

1. Dla młodych.

Młodzi mówią sobie: trza używać świata,
Póki jeszcze młode służą nam tu lata.
Aleć to przysłowie jest wielce fałszywe,
Ono dusze młodych czyni nieszczęśliwe,
Przetoż się trzymajmy przysłowia innego,
Które to pochodzi od Boga samego,
To jest: czyńcie dobrze, dopóki dnia macie,
Bo jak noc nadejdzie, już nic nie wskóracie.
Posłuchajmy dalej słów Pawła świętego,
„Bracia obleczcie się w człowieka nowego.“
Jako we dnie chodźcie, w wszelkiej uczciwości,
Nie w tańcach, pijaństwach i niewstydliwości.
Lecz niektórzy mówią, że też i muzyka,
Stworzona od Boga, dla uciechy człeka!
Lecz i usta nasze od Boga pochodzą,
A jednak nie zawsze dobry owoc rodzą.
Kiedy ich na chwałę Bożą używamy,
To dobrą zapłatę za to otrzymamy.
Ale kiedy niemi Boga obrażamy,
Bliźnich obmawiamy, albo przeklinamy,
Toć nie dostąpimy za to nic innego,
Jak tylko zapłatę karania wiecznego.
Tak też to podobno z muzyką się dzieje,
Ona więcej złego, jak dobrego sieje.
Ona przyjaciółką jest dusznego wroga,
Bo w karczmie na tańcach nie ma w sercach Boga.
Otóż moi mili, którzy młode lata,
Trawicie w marnościach doczesnego świata,
Wspomnijcie że ten świat wszystkich was oszydzi,
A że Boskie oko wszędy nas tu widzi.
A że ci najbliżsi niebieskiemu progu,
Którzy od młodości służą Panu Bogu.

2. Dla małżeństwa i rodziców.

Mąż i żona w życiu różne smutki mają,
Które ich tak jak mgła często otaczają.

Ale jak te wołki, co w jesieni zboże,
Ciągną do stodoły, oba w jednej porze,
Tak też mąż i żona mają razem robić,
Do biedy i szczęścia razem się sposobić.
Lecz jakże to teraz małżonkowie żyją?
Niektórzy po ślubie zaraz się pobiją.
Przysięgają miłość w obec Pana Boga,
A ledwo wystąpią z kościelnego proga,
A już tę przysięgę nogami zdeptają,
Przez co Pana Boga wielce obrażają.
W niektórem małżeństwie jest winniejsza żona,
Wciąż na męża kracze, jak ta czarna wrona,
Choć mu posłuszeństwo przed tem ślubowała,
Toby potem rada nad nim panowała.
A niektóry zaś mąż jest przyczyną złego,
On często nieszczęściem dla domu całego.
Nie dość że on często zarobek przepije,
To jak z karczmy wróci, jeszcze żonę bije.
Lecz Pan Bóg uczyni w końcu rozłączenie,
Dobrych da do nieba, złych na potępienie.
Zaś ojcowie mają od złego zasłaniać
Dziatki, a z małości do Boga nakłaniać,
Lecz jakże się dzieje w teraźniejszym wieku,
Tak że rozważnemu żal się robi człeku!
Bo ojcowie lepiej o bydełko dbają,
Jak o dusze dziatek, co od Boga mają!...
Gdy wieczór przypadkiem bydlę z chlewa ujdzie,
To z bojaźnią mówią, gdzie ono też będzie,
I zaraz tak długo oba go szukają,
Dopóki napowrót w domu go nie mają,
Ale kiedy dziecko z domu się oddala,
A w nocnych bezprawiach w karczmie się gdzieś kala.
To wtenczas spokojnie sobie zasypiają,
Lub tam gdzie z kmotrami wódkę zapijają.
O! na takich ojców strach wielki nadejdzie,
Kiedy Bóg dusz dziatek domagać się będzie!

3. Dla starych.

Zimna śmierć potrząsa człowiekiem w starości,
Że to nieboraka aże bolą kości.
Lecz który staruszek przez wiek życia swego,
Nagromadził dosyć uczynku dobrego,

Temu śmrerć okrutna krzywdy nie uczyni,
Tylko jego życie w lepsze mu zamieni,
A jak kwiatki, co grób jego otaczają,
Zaś po zimie kwitną i woń wydają.
Tak też ciało jego z duszą się znów złączy,
W niebie kwitnąć będzie jak kwiat woniejący.
Lecz niejeden starzec w swym ostatnim czasie,
Jeszcze jest podobny owym sosnom w lesie.
Które choć po wierzchu śniegiem pobielone,
To pod śniegiem jednak zostają zielone.
Tak on też choć głowę ma już obieloną,
To w głowie ma jednak jeszcze myśl zieloną.
To też śmierć takiemu nie będzie pocieszna,
Pozna on ją potem, jak ona to straszna,
Przetoż wszyscy wespół, jak starzy tak młodzi,
Pamiętajmy na to, że czas wnet uchodzi!

Kościółek pustelniczy.

Miłe sercu polskiemu wszystkie dawne zabytki po naszych ojcach, wszystkie pamiątki, gdzie jakie napotykamy. Stare zamczyska, mogiły, stare książki, stare zbroje, stroje itp. A najmilsze pamiątki są te, które się odnoszą do św. naszej katolickiej wiary, dające tak piękne świadectwo pobożności naszych ojców: wszystkie kościoły, klasztory, figury, krzyże nawet tak gęsto porozrzucane po całym kraju naszym, czy to je gdzie na oczy oglądamy, lub z pism i podań starych ludzi o nich wywiedzieć się możemy. Wszystkie te rzeczy tak tkliwem serce ludzkie napełniają uczuciem, że nieraz trudno od łez się powstrzymać, które pomimowolnie człowiekowi z ócz się wydobywają. Opowiem wam i dziś, skoro nalegacie, coś ciekawego, usiądźcież na trawniku w koło i słuchajcie:

Będzie prawie na świętego Piotra lat 34, powracałem z Dynowa przed samym wieczorem, wypadało mi spocząć trochę, bom się przymęczył, a skwar słońca mnie napiekł, usiadłem sobie na górze Tyczyńskiej pod trześnią, przy niewielkim ale pięknie utrzymanym ogródku. O podal klęczał staruszek wiejski, gorąco się modląc. Po chwili powstał, zbli-

żył się ku mnie, ja pochwaliłem Chrystusa Pana, on usiadł przy mnie, i zapuścił się ze mną w rozmowę. Pyta się mnie skąd jestem, odpowiadam:

— Jestem od Dynowa, syn kmiecy Mieczysław Brzęk, wracam od rodziców do Rzeszowa, gdzie się na organistę uczę. Powszechnie mnie zowią Mieczysławkiem, i mnie to piękne imię cieszy, bo za Mieczysława I. naszego króla polskiego, wprowadzona została wiara chrześciańska do naszej Polski. A wy tatusiu! pytam się, tutejsi?

— Tutejszy — mówi — ot z tamtej poniżej chałupy, poddany kościelny, Antoni Rożek.

— Dla czego na owem miejscu klęczeliście, gdzie was słońce w głowinę piekło? mogliście byli tu w cieniu pomodlić się.

Rzecze staruszek:

— Kiedy tam jest miejsce poświęcone, na którem przed laty stał kościółek, w którym za młodu tak często się modliłem, i dziś mi to miejsce święte, i chętnie się tam modlę, a tem szczerzej dziś, bo oto cholera się zbliża, może mnie starego Bóg już do siebie powoła, radbym w każdej chwili być gotowym.

— A gdzież się ten kościółek podział? kto go tu stawił?

Staruszek rzekł:

— Kiedy sobie życzysz wiedzieć, opowiem ci, bo ja rad o dawnych rzeczach rozprawiam, a prawie ostatni jestem, co go zapamiętałem. Ludzie powoli o wszystkiem zapominają, dobrze, że choć ty mający lepsze oświecenie, drugim opowiedzieć będziesz umiał. Oto kościółek ów św. Bernarda, przy którym zawsze mieszkał jaki pustelnik, postawił na xiężem polu wśród lasku, który się wtenczas od potoka przez całe przygórze jak widzisz, aż za górę ku Czerwonkom ciągnął, a dziś i śladu z niego nie ma — xiądz Tarło proboszcz z Tyczyna, co to był poźniej arcybiskupem Lwowskim. Na pustelników zwykle poświęcali się ludzie, co pragnęli usunąć się od grzesznego świata, i w bogobojnem rozmyślaniu prowadzić życie swoje, a czasem znalazł się taki, co w samotnem tu miejcu chciał pokutować za grzechy życia swego. Raz tu pustelnikiem

był szlachcic, to znowu wojskowy polski, raz mieszczanin z Tyczyna Tratkowski, był i chłopek z Straszydła Szymon Kalandyk, którego znałem, i tu właśnie leży pochowany. Ten ostatni odbył nawet pieszo pielgrzymkę do Rzymu, nosił na ciele pasek gwoździkami nabity, że aż w ciało jego, jak po śmierci widzieliśmy, się wrosły. Ostatnim zaś pustelnikiem, był Słowak z Węgier, pobożny i poczciwy człowiek, ale ledwie cztery tylko lata nim się cieszyliśmy, bo potem opuścił nas i był w Zasławiu przy OO. Bernadynach.

Mój Boże! taki pustelnik nikomu się nie naprzykrzył, nikogo o jałmużnę nie prosił, sami tylko ludzie się domyślali, i czasami mu strawę dosyłali. Zabawną ci jedną rzecz opowiem. Jeden z tych pustelników miał psa, który jak tylko zauważał, że nie ma co jeść, biegł do której chałupy i tak żałośliwie pod drzwiami zaskomlał, że się serce ludzkie poruszyć musiało. Ludzie się też domyślali i do pożywienia co donieśli. I psa tego nazwano Skomlejem. Zmyślny to pies był, nie naprzykrzył się jednej chałupie, tylko za każdym razem to w Tyczynie to w Kielnawczy inny sobię dom obierał. Raz w zimie biegł na Biechowczyznę. Pan Morzkowski, który ten folwark w posesyi trzymał, mówi do żony:

— Trzeba Jaguś co pustelnikowi posłać, bo Skomlej pode drzwiami skomli.

Mówi żona:

— Kiedy nie mam przez kogo, jedna tylko kucharka przy domu, z którąśmy dopiero chleb z pieca wyjęły, a trzeba obiad ładować, bo parobków co tylko z lasu nie widać.

Na to rzecze mąż:

— No to ja tu temu zaradzę. Bierze bochenek chleba, obwiązuje ścierką a końce wtyka psu w pysk, i mówi „nieś“ a pies na prawdę z chlebem odchodzi.

Wyszedł za nim posesor aż na trzecie stajanie pola, i widział jak pies, choć śnieg był zawalny i węzełek go po nogach trącał, wlókł się ku domowi. Nazajutrz poniósł parobek Szymek Fujara w glinianym dwojaku sparzonego mleka i krup hreczanych pustelnikowi, i dowiedział się: że pies choć ćwierć mili było drogi a głodnym był, do tego i zapach świeżego

chleba pokusę mu sprawiał, w całości jednak na miejsce go doniósł. Mój Boże, jak to pies swoją wiernością zawstydza nie jednego człowieka, sługi osobliwie takie, co to nie z głodu ale z łakomstwa porywają z garnka lub półmiska to mięsiwa, omasty, chleba kawał, lub co innego wtykają koło siebie, że sobie nieraz aż kieszenie pomaszczą, co nie tylko jest obrzydliwością, ale nawet grzechem bo złodziejstwem, czego czynić nie należy.

Szczególny to był pies. Raz wbiega z dworca i skomli żałośliwie. Pustelnik się domyślał, że się coś stać musiało, idzie za nim. Pies go prowadzi do ścieszki niedalekiej, gdzie leżał na śniegu Hyżniak jeden pijany, na pół od zimna skostniały. Pustelnik go z biedą przy pomocy Skomleja do chałupy smykiem przyciągnął, ledwie się go przy łasce bożej dotrzeźwił i od śmierci uratował.

Inną razą pojawił się u pustelnika dziad z Gwoźnicy. Już się zabierał do wychodu, gdy weszła mieszczka z Tyczyna stara Masłowska, i wsunęła pod tarczan pustelnikowi coś może z garniec w worku, i odeszła. Dziad się już iść rozmyślał, skarżąc się że go nogi bolą i prosi o nocleg. Pustelnik zezwala. Skomlej jednak coś dziada podejrzywał, i ciągle na niego wyrczał. Gdy się w nocy wszystko uciszyło, dziad sunął po ów worek ręką, i dalej z nim za drzwi. Skomlej za nim, taj go za połę i trzyma, dziad nuże go laską, a Skomlej go za łytkę, dziad upadł i w krzyk. Pustelnik wybiega, patrząc co się stało, a tu dziad na ziemi, a worek z suszkami obok niego, i rzecze łagodnie:

— Nacóżeś mi te jałmużnę ukradł?

— Bom ja myślał — odpowie — że to coś wartowniejszego w nim było.

— A gdyby i tak, rzecze pustelnik, godziłoż się mi taką krzywdę wyrządzać? Chodźże i nieś nazad.

Dziad dawał kilkanaście złotych srebrnych pustelnikowi, ale ich nie przyjął, tylko go słuchał pacierza, katechizmu, 10 przykazań boskich, a osobliwie wykładał mu siódme „nie kradnij.“ Rano przybył z mszą św. xiądz szpitalny od św krzyża, xiądz Gołkowski, przed którym się wyspowiadał, i przyrzekł,

że więcej kraść nie będzie. Coś podobnego a raczej gorszego się stało za naszego króla Bolesława Chrobrego pięciu pustelnikom, których król raz odwiedził. Rozbójnicy sądząc, że im jakie znaczne pieniądze zostawił, napadli ich w nocy, pozabijali, a nic nie znaleźli, bo nic nie mieli i mieć nie wolno im było. Wkrótce ujęto onych złoczyńców i śmiercią ukarano.

Pies ten siedm lat służył pustelnikowi, potem zdechł. Pustelnik był wiekowym i słabym, ludzie uradzili i wyszukali dziesięcioletniego sierotkę Józka Płodniaka, by go pilnował. Chłopczyna tak się był do pielgrzyma przywiązał, że gdy ten we dwa lata umarł, i on za nim w kilka dni z żalu poszedł.

— Jaki był ów kościółek? jak domek pustelnika wyglądał? — pytam się Antoniego.

— Kościółek był nie wielki drewniany, jeden ołtarzyk z obrazem św. Bernarda. A mieszkanie pusta chałupina pod słomianą strzechą. W niej jedna izdebka, drzwi bez zamknięcia, kropielniczka gliniana z święconą wodą, tarczan drewniany zamiast łóżka, na którym sypiał, trochę mchu za pościel, gromnica, krzyżyk na ścianie, stół prosty, na którym leżała książka do modlenia i Żywoty św. Pańskich. Gliniana miska, kubek, łyżka drewniana, dzbanek na wodę, jedno okienko w izbie, piec mały w kącie, i całe urządzenie. Ubogie w obec świata, ale w obec Boga gdzie jest wiara, miłujące serce i czyste sumienie, wielce kosztowne. Hej, hej! jakżeż nam w tych tu kilkunastu chałupach w pobliżu mieszkającym miło i słodziuchno było, jak długo ten kościołek stał, a stał lat 300. Co rano, w południe i wieczór odezwał się dzwonek na pacierze, wyraźnie życie się czuło, trza było rady, pociechy, mieliśmy ją pod ręką, dzieci zbiegały się do pustelnika, a on ich uczył pacierza i z niemi go odmawiał. Czasem też xiądz tu ze mszą świętą przybył, a w drugi dzień świąt wielkanocnych, jak pogoda posłużyła, przychodziła procesya z Tyczyna na Emaus. A dziś — zamilkł — i zapłakał.

Pytam się go: a gdzież się ów kościółek podział?

Mówi Antoni:

— Pytasz się mnie gdzie się podział? ot jak to nie jedno już na świecie gdzieś się podziało. Ot jak kasowano i

więcej kościołów i klasztorów w kraju naszym, zniesiono i ten, kupił go jeden i postawił na folwarczku swoim szpichlerz z niego. Serce się z żalu rozdzierało, jak go rozbierano. Z razu nikt się nie chciał podjąć, trunkowy tylko cieśla jeden na to się odważył. Ale mu na dobre nie wyszło. Jaszcze szpichlerza nie dokończył, a tak sobie rękę prawą uszkodził, że całe życie nie mógł nią nic robić, tylko lewą po jałmużnę wyciągał. Nie lepiej się stało innemu tam dalej w górach. Biskup jeden postawił maleńki klasztorek dla xięży Kapucynów w Bliznem za Domaradzem, który również sprzedano. Kupił go pan z górnej Gwoźnicy i zmurował na gościńcu austeryę z niego, co to Murowanicą zowią. Zaledwie cieśla dach pobijać skończył, i wichę z gałęzi, jak to bywa dla oblania gorzałką, zatknął, zagrzmiało na niebie, piorun w dach uderzył i spalił, a cieśla złażąc po drabinie, spadł, potłukł się ciężko i na zawsze ogłuchł. A do pana drudzy panowie ani gadać, ani się z nim wdawać nie chcieli, bo im hańbą zrobił. „Że nasi ojcowie — powiedział mu z Bachorza przy wszystkich — kościoły stawiali, to wiemy, ale żeby kościoły na karczmy przerabiali, tego nie bywało. Masz podostatkiem kamieni w Gwoźnicy, miałeś z czego karczmę zmurować.“ Bo to widzisz młodzieńcze! prowadzi Brzęk mowę dalej: chwałę bożą nie trzeba usuwać i zmniejszać, ale ją szerzyć. Jeżeli przestarzały jest domek Boży, to go podtrzymywać dopóki się da, bo to jest rzeczą świętą, a dziełem ojców naszych i drogą po nich pamiątką. A jeżeli zupełnie spruchnieje to wtenczas usunąć, ale coś ładniejszego na tem miejscu zbudować.

Słońce zachodziło, namyślałem się zanocować w ogródku pustelniczem. Wyjąłem bocheneczek chleba z torby, jaszczyk masła i parę gomułek, podzieliłem się z staruszkiem, nie wzgardził moim serem, bo ciężki bowiem był przednowek, a jak mówił, nie mieli swego proboszcza by ich zaratował, a dopiero się go spodziewali. Młody Ignacy właściciel tego ogródka, wylazł na trześnie, narwał jagód, któremi mnie poraczył, — pobiegł do pobliskiej studzienki, przyniósł dzbanek świeżej wody, a staruszek kazał przynieść drewniany kubek, jako pamiątkę po ostatnim pustelniku, i z niego wody się napiłem.

Noc była pogodna, jasna, a ja zasnąć nie mogłem. Choć młodzi zwykle o rzeczach dzisiejszych i jutrzejszych marzą, ja zaś myślą moją w przeszłe przeniosłem się lata, i o rzeczach dawnych dumałem. Rozczulony prawie wracałem do domu, podziwiałem słodycz i rzeźkość starowiny, który choć był wiekowym, i rękę za młodu miał złomaną, kopę jednak zboża sam bez pomocnika wymłacał. Później dowiedziałem się że ów Antoni Rożek z żoną swoją doczekali się lat złotego wesela, przy którym dniu proboszcz ich w swoim domku pogościł — i ośmdziesiątkę szczęśliwie przeżyli. Niech duszę ich Bóg przyjmie do swej chwały wiecznej a razem i wszystkich tych, co są za chwałą bożą, miłują Boga i ludzi.

— Niech im Bóg płaci — odzywają się wszyscy — pokojem wiecznym — a i tobie Mieczysławie za tę historyjkę, coś nam opowiedział, łaską swoją świętą.

Mieczysław odrzekł:

— Wasza dobra chęć w słuchaniu już mnie zadowolniła, i jest mi zapłatą. Miłujcie tylko wszystko co jest nasze, i przyjmijcie przestrogę, jaką wam w krótkich wierszach, jako prosty organista składam:

Szanujcie ludkowie! wszystko co jest swoje:
Polską ziemię, mowę, zwyczaje i stroje
Nad wszystko zaś cenicie świętą ojców wiarę,
Czyste niosąc serce Panu na ofiarę.
Zaskarbicie sobie — dla dusz swych zbawienie,
A u ludzi dobrych, poczciwe wspomnienie.

— Oj prześlicznie — zawołali wszyscy — powtórzcie jeszcze raz, byśmy sobie spamiętać mogli. Powtórzył — a dla wiadomości drugich i lepszej pamięci, spisał wszystko rzetelnie

Stanisław z pod Tyczyna.

Pogadanka u pana organisty.

Papier.

Nie znaleźć od razu takiego rozumnego człowieka, jakim był organista Wincenty w Zielonej Woli. Człek to był piśmienny i uczony, za młodu w szkole kaszy darmo nie jadł, a choć

już piąty mu dochodził krzyżyk, zawsze się jeszcze uczył, bo rad czytywał przeróżne książki i gazety, już to od xiędza proboszcza już to od dziedzica pożyczone. Ale w czem najbardziej wart był pochwały organista Wincenty, to w tem, że nie dusił tego dla siebie, co umiał, jeno rad się dzielił z innymi ludźmi, którym brakło na nauce. Bywało po kilkanaście gospodarzy i chłopaków z Zielonej Woli przychodziło w niedzielę i święta do pana organisty a usiadłszy w izbie, albo w ogrodzie pod wielką gruszą, słuchali, co im opowiadał Wincenty. Były tam przeróżne pogadanki i historye nauczające, nauki i czytania — a wszystko to takie piękne i pożyteczne, że się ludzie i odsłuchać nie mogli.

Jednej niedzieli po nieszporach czytał pan organista gospodarzom na głos nasz Dzwonek, a kiedy już skończył czytanie i wszystkie książki i gazety w kupkę sobie układał, rzecze jeden gazda Kuba:

— Ano patrzcie takie marne świstki jak te papiery, a tyle w nich przeróżnych ciekawości!

— Aha dobrze — mówi inny kmieć Antoni — żeście mi papier przypomnieli, już dawno zabierałem się zapytać pana organisty, z czego też ten papier robią. Mówią, że z łachmanów, co je żydzi po wsiach za szklanne paciorki mieniają, ale mi się to jakoś w głowie nie chce pomieścić.

— Ciekawiście historji o papierze — mówi pan organista, mamy czasu jeszcze kawałek, jeżli wola, to posłuchajcie. Papier, moi kochani, to nie jest żaden świstek marny, jak mówił Kuba, to rzecz bardzo ważna, za którą Bogu dziękować powinniśmy. Gdyby nie było papieru, nie mieliby ludzie książek pożytecznych, a bez nich nie byłoby nauki, nie byłoby nawet na czem listu napisać. Ano prawda także, że i papier, jak służy na zły użytek, nieraz na utrapienie wychodzi. Ale ludzie poczciwi wszystkiego na dobre używać powinni.

Papier, moiściewy kochani, robi się istotnie z łachmanów i szmatek, ale nim do tego ludzie przyszli, dużo czasu jak wody upłynęło. Z początku, jeszcze przed narodzeniem naszego Zbawiciela Pana Jezusa, ciężka była bieda bez papieru. Ludzie pomagali sobie jak mogli w rozmaity sposób. Zamiast papieru

mieli gładkie deszczułki, płyty kamienne, liście z drzewa, tablice woskowe, i na nich małemi dłucikami albo gwoździami z ciężkim trudem wydłubywali litery. Łatwo więc zrozumiec, że jak co napisali, to takie pismo chyba na bryce trzeba było wozić za sobą, nie można było ani książki zrobić, ani listu. I tak było przez bardzo długi czas. Aż znowu w jednym kraju, co leży w innej części ziemi, w Afryce, a zwie się Egipt, gdzie to nasza Najśw. Panienka uciekać musiała z dzieciątkiem Jezus — w tym kraju więc zaczęli ludzie radzić sobie inaczej. Rosło w tym kraju takie drzewko, co się zwało *papyrus*. Otoż z tego drzewa darli ludzie łyko, to łyko cięli w wązkie paski i układali jeden koło drugiego, a potem znowu w krzyż, tak że się z tego zrobiła cieniuchna rogóżka a potem to wodą polewali i klejem napuszczali. Na takich rogóżkach pisali wtedy ludzie, a że łyko na tych rogóżkach było z drzewa, co się zwało *papyrus*, więc też ztąd powstała nazwa papier, która dziś po całym świecie jest używana, chociaż już papier od bardzo, bardzo dawna z tego łyka się nie robi.

Potem znowu robili papier ze skór bydlęcych, które cieniutko wyprawiali i rozmaicie przyrządzali. Papier taki robiono w pewnem mieście w Azyi, co się zwało *Pergamus* i ztąd zwał się taki papier pergamin. A że ten papier oczywiście mocny jest jak rzemień, więc i teraz jeszcze rozmaite bardzo ważne pisania, jak na przykład cesarskie albo królewskie dokumenta i dekreta, które się na wieczne czasy składają po kancelarjach, piszą się na takim pergaminie.

Ale zwykły papier, co na nim teraz wszędzie piszą i drukują, ot jak np. papier Dzwonka, robi się z szmat lnianych, jak to już Kuba wspomniał. Dla tego wartują szmaty i gałgany z tej racyi bardzo wiele i nie trzeba ich marnie wyrzucać, bo można sprzedać za dobre pieniądze, a nieraz żydzi, co za łachmanami umyślnie po wsiach chodzą, mieniają się za nie z dziewczętami za piękne wstążki, obrazki, albo paciorki.

— Ale jak to oni tam z tych szmatek papier zrobić potrafią, to sęk! — mówi na to Kuba.

— Na to są osobne fabryki czyli papiernie — prawi dalej pan organista — do tych fabryk zwożą ogromnemi furami

same szmatki, a dopiero z temi szmatkami wyprawiają się tam rozmaite historye. Najpierw czyszczą wszystkie szmatki, potem dają do osobnej wielkiej maszyny, co je ostremi siekaczami potnie w drobniuteńkie kawałki i potłucze potem na miazgę, do tej miazgi, co się z samych włókien i niteczek składa, dolewają potem wody i z tego robi się taki płyn, jakby klej z mąki. Mięszanina ta idzie potem pod prasy takie, jak magiel i zmienia się w cieniuchne płaty, a woda ucieka i wtedy już jest papier. Ale na tem nie koniec. Te płaty potrzeba potem blichować, suszyć, gładzić, prasować, osobnym klejem napuszczać i inne przeróżne z niemi przechodzić fabrykacje, aby mieć taki papier, jak go tu widzicie. Zaś wedle tego, jak się papier ro'i, są rozmaite gatunki, grube i szare, co się zwią bibułą, albo gładziutkie i bielutkie, na których się listy piszą i książki drukują. Gdzieniegdzie znowu, to robią teraz papier z liści kukurudzianych i z innych podobnych rzeczy, ale zawsze najczęściej ze szmat i łachmanów.

Na tem skończył pan organista, a ludziska podziękowawszy za gawędę porozchodzili się do domu. My wam zaś wypisali to wszystko ku nauce, a na drugi raz wypiszemy wam także, o czem pan organista w drugą niedzielę opowiadał.

RÓŻNOŚCI.

Żywe płoty. Po wsiach naszych bardzo mało są jeszcze upowszechnione żywe płoty, a jednak są one bardzo trwałe i prawdziwie piękne. Za granicą, mianowicie w Anglii, kochają się bardzo w takich płotach. Płot, któryby nie był zielony, uważają tam za rzecz brzydką, dlatego też w tych okolicach, gdzie dostatek kamieni pozwala na płoty murowane, zasądzają przy nim mnóstwo dzikiego wina, lub innych roślin wijących się tak, aby liść cały mur pokrywał. Żywe płoty w naszym kraju dadzą się z rozmaitych drzew krzewistnych sadzić. Przekonano się w ostatnich czasach, że jednym z najlepszych krzaków na ten cel jest jałowiec. Daje on nietylko dostateczną ochronę, ale i odznacza się zarazem pięknością, gdyż ciągłą zachowuje zieloność, gęsto się krzewi i daje się równać przez obcinanie nożycami; krzew ten obok dogodności, ma jeszcze i tę, że wzrasta na najbardziej jałowym gruncie, a posadzony, niezmiernie łatwo się przyjmuje. Chcąc płot jałowcowy zaprowadzić u siebie, można to robić dwojakim sposobem: albo zasadzając na wybranem miejscu nasiona jałowcowe, co można dokonać albo wiosną albo latem, lub też przesadzając krzaki z lasu. W tym razie poprzestać można na młodych padach. Otóż takie żywe płoty radzimy zakładać naszym włościanom zamożnym, tak około sadów jak i około swoich pól.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.